

W przypadku szalu pogryzł raz poduszkę i uduślił się pierzem.

— To smutne.

— Rodzina płaciła za niego sto tysięcy franków rocznie. Miał swój oddzielny apartament, trzech służących i kucharza. Jadł bardzo wiele i niezmiernie wykwinicie. Ale nie wszyscy nasi pacjenci są tak bogaci. Stosujemy się do zamożności każdego, chociaż mniej nad dziesięć tysięcy franków rocznie nie przyjmujemy. Lecz te szczegóły zapewne nudzą pana?

— O, nie — odparł z westchnieniem markiz — bardzo to mnie interesuje. Zakład panów pozyskał już sobie sławę europejską.

— Istotnie, możemy sobie przyznać, iż zdobyliśmy pewne uznanie dzięki nowemu leczeniu chorób umysłowych.

— Jakież to leczenie?

— Jest ono nadzwyczaj skomplikowane. Choroby umysłowe, pochodzące z neurastenii, podrażnienia nerwowego, osłabienia woli, następnie: histerya, chorobowa autosugestia, porażenie centrów nerwowych, wreszcie najrozmaitsze rodzaje obłąkania, delirium częściowe, mania prześladowcza, wielkości, paraliż ogólny, cały ten cykl chorób zwyrodnienia umysłowego wymaga wyspecjalizowanych lekarzy praktyków, którzy działają na stronę moralną, a nie fizyczną pacjenta, przez wzbudzenie ku sobie zaufania, przez powagę własną, przekonywanie chorego.

— O, tak... — odrzekł pan Morailles zamyślony.

— Ale nie zapytałem się jeszcze o zdrowie pani markizy?

Od dłuższego czasu Saffroy i doktor Crux leczyli panią Morailles bez żadnego jednak skutku. Nerwowość markizy nie tylko nie malała, ale nawet jeszcze wzmożła się.

— Ach — rzekł smutnym głosem markiz. — Nie mogę ukryć tego przed panem, że moja obawa ciągle wzrasta.

— Nerwy?...

— Co raz gorsze... Pani Morailles stała się ofiarą jakichś upórnych myśli, rozdrażnienia, które pogarsza tylko ogólny stan jej zdrowia.

— Hypochondrya?... Rozrywki jakie...

— Wie pan, że nie chce żadnych. Wycofała się z życia towarzyskiego, nie wychodzi wcale, mało jada. Wejście jej przestrasza mnie... Czytam w niem jakieś zapomnienie wszystkiego, obawę przed życiem, niewytłumaczony strach...

— Określmy symptomy. Strach, pan mówi?

— Tak. Przerazenie bez najmniejszego powodu, uważa się za zagrożoną przez wrogów niewidzialnych, prześladowaną przez nich.

— O, to bardzo charakterystyczne, mania prześladowcza przedstawia się w dwóch objawach... No, ale spodziewam się, że jeszcze do tego nie doszło.

— Jak już dawno nie widział pan markizy?

— Ostatni raz byłem, zdaje mi się, przed czterema miesiącami...

— Przestraszyłby się pan zmian, jakie zaszły od tego czasu.

— To bardzo smutne. Pozwoli pan, że zapytam się, dlaczego pan nie zwrócił na to specjalnej uwagi. Pani stan wymaga bezustannego czuwania, odosobnienia, zupełnego spokoju.

Pan Morailles oczekiwał tylko na te słowa. Nie okazał swego zadowolenia, lecz odparł zasmucony:

— Myślałem, że powietrze, spokój leśny...

— O, drogi markizie, w takich wypadkach spokój losu nic nie pomoże. Źródło zła, całej choroby, leży w całym otoczeniu, mieszkaniu, powietrzu, którym oddycha. Właśnie ja i Crux kładziemy wielki nacisk na usunięcie chorego z tego środowiska, w którym przebywał.

— Ach, pan dotyka się najczulszej mej rany. Nie miałem aż de tej pory odwagi na rozłączenie się z panią Morailles. Sądziłem, że przyjazd jej przyjaciółki a zarazem siostry mlecznej, pani Le Chars, wpłynie dodatnio. Skutek jednak był fatalny. Te wszystkie myśli, obawy, wzmożyły się tylko.

— Nie dziwnego... Tylko odosobnienie najkom-

pletniejsze, może wpłynąć na polepszenie stanu zdrowia pani markizy.

— Doktor Morane doradzał dłuższą podróż...

Markiz rzekł to, by odwrócić od siebie wszelkie podejrzenie. Saffroy zaś pomyślał, iż może stracić bogatą pacjentkę.

— Doktor Morane należy do starej szkoły. Podróż może tylko wywrzeć zły skutek, gdyż przez zmęczenie wyczerpuje system nerwowy.

— Pańskie zdanie, chociaż oceniam całą jego wartość, sprawia mi jednak wielką przykrość. A przytem markiza nie zgodziłaby się nigdy...

— Wnioskując z tego, co pan markiz powiedział, można się obawiać, iż nadejdzie chwila, gdy pan będzie zmuszony działać bez woli markizy, by ją tylko uleczyć.

— Boję się tego, rzekł pan Morailles ze smutkiem, trzeba jednak przygotować się na wszelką ewentualność. Wyznam panu, że w ostatnich czasach stan żony bardzo się pogorszył.

— Czy pan oglądał kiedy nasz *Instytut neurologiczny*? — zapytał Saffroy.



Upadła do nóg swego kochanka.

— Nie, chciałbym go jednak na wszelki wypadek zwiedzić... Zresztą porozmawiamy o tem po południu.

Służący zapukał do drzwi i oznajmił:

— Książę d'Eylan i jenerał Desboulets.

— Otóż i moi świadkowie — rzekł markiz z uśmiechem. Poproś tutaj.

XVIII.

STAŁ PRZECIW STALI.

Książę d'Eylan, choć już postarzał się cokolwiek, trzymał się jeszcze prosto z piersią naprzód podaną, z głową do góry, przypominając żywo postawę swego dziadka, marszałka cesarstwa.

— Dzień dobry, Henryku, dobrze spałeś?... Spokojny jak zawsze w ważnych chwilach?

Jenerał Desboulets o figurze dawnego wojskowego, z siwymi wąsami i hiszpanką, trzymał się prosto jak na paradzie przed cesarzem.

— A pamiętasz jeszcze mój dawny sztych, który ci już raz pokazywałem? — zapytał, wykonywując go zaraz laską.

— Dziękuję, mam ja swój własny, także dobry — odrzekł pan Morailles.

— Ci przekłeci dziennikarze — odezwał się książę d'Eylan — pchają swój nos wszędzie.

— Jako, przecież ja nigdzie nie czytałem o tym pojedynku — rzekł markiz.

— Nie czytałeś w takim razie *Matin*.

— Nie.

— Czytaj więc — i książkę wyjął z kieszeni dziennik.

Na pierwszej karcie widniało wydrukowane dużymi literami:

Głośny pojedynek.

Dwie osobistości wielkiego świata. — Zniewaga nosa z powodu pięknych oczu — Gdzie będą się bili? — Szpada czy pistolet?

Zaklął energicznie.

— Czytaj dalej — rzekł dalej.

Pan Morailles znalazł opisane całe zajście dość przekrecone i powiększone, ale osoby tak jasno zostały określone, iż każdy mógł rozpoznać w nich markiza, hrabiego, jak również i Maud.

— Jak oni mogli się dowiedzieć, oni jedni tylko...

— Tak, ale dzienniki wieczorne i jutrzejsze pełne będą tej sensacji, jak nazywają każdy pojedynek... — odezwał się jenerał; zresztą można sobie nie z tego nie robić.

— Ależ wcale nie. Jest to nie do zniesienia, aby z powodu prywatnej, honorowej sprawy, która powinna zostać w tajemnicy, jakiś dziennikarz pozwalał sobie niepokoić trzecie osoby, jak w tym wypadku mam żonę.

— Masz zupełną rację, mój drogi — potwierdził książę — lecz jeżeli sprawi to przykrość twojej żonie, sam temu jesteś winien. Nie wstyd ci, że jeszcze wiesz taki pusty tryb życia — i poklepał go po przyjacielsku po ramieniu.

— Zresztą — dodał jenerał — nie znają ani świadków, ani miejsca spotkania.

— Tak, ale wiedzą, że się bije i ręczę wam, że oni razem z agentami będą nas śledzili.

— Do diabła, to prawda, nie przyszło mi to na myśl.

— W takim razie — zauważył doktor Saffroy — ja wyjdę pierwszy i jak tylko który z dziennikarzy zaczepi mnie, powiem mu, że pan Morailles chory, leży w łóżku i że pojedynek odłożony.

— Nie — odparł stanowczo markiz — ten wybieg nie podoba mi się.

— Ale przecież ty masz drugie wyjście stąd, przez ogród?

— Tak, jest, nigdy nie używane.

— Tem lepiej. Uprzedzę swego szofera, by czekał na nas z tamtej strony i w ten sposób unikniemy wszelkich świadków.

W kwadrans potem wszyscy pojechali samochodem w stronę lasu. Okrążyli jezioro, skręcili na prawo w stronę avenue Longchamp i zatrzymali się przed pawilonem, ukrytym za drzewami. Na progu oczekiwał ich sekretarz księcia.

— Dzień dobry, Picard. Pierwsi jesteśmy?

— Tak, pierwsi.

— Niema żadnych dziennikarzy, ani fotografów?

— Nie widziałem żadnego.

— Obie sale ogrzane?

— Wszędzie napalono.

— Oto i oni — odezwał się jenerał, spostrzegając zbliżające się osoby.

Zamieniono ukłony i wszyscy weszli do środka. Przeciwnicy stanęli przy dwóch przeciwnych ścianach i rozmawiali ze swymi lekarzami, świadkowie zaś zamieniali z sobą ostatnie uwagi, oglądali szpady, badali teren.

— Zdaje mi się — rzekł półgłosem książę — że ta sala jest zupełnie odpowiednia; opalona, co ze względu na obecne zimno...

Pierwszy jednak świadek hrabiego, jakiś magnat węgierski o wielkich czarnych wąsach, okryty futrem, zwrócił uwagę, że cementowa posadzka jest śliska.

— Mammy w takim razie dziedziniec — odpowiedział książę i wyszedł naprzód. — Tutaj jest teren dobry.

(Ciąg dalszy nastąpi).